Nr. 35. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 26 Sierpnia 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

POLIŚCI, POLANIE I WIELKOPOLANIE

PRZED NASTANIEM POLSKI.

(Ciąg dalszy.)

O nazwie pracujących w germańskiéj ziemi rolników (οἱ πολισται) mamy wiadomość z tego dopiéro czasu, kiedy Celtowie, nadwerężywszy potęgę Scytów (co się już w trzecim wieku przed Chr. stać mogło [1]), usadowili się około gór hercyńskich, i zetrzeć ową potęgę zostawili komu innemu. Tym kim innym byli Teutonowie, którzy, przy pomocy miejscowych rolników, koniec władztwu w Germanji naprzód Scytów następnie Sarmatów położyli. Z późnych, bo dopiero z owych czasów mamy o tém wiadomość, kiedy miejscowi władzcy uposażali klasztory ziemskiemi dobrami, na których osiadłszy rólnicy, pod nazwą polistów [2]) i łęczan [3]), wystąpili w dziejach po upływie wieków już nie jako Słowianie, lecz jako Niemcy

Wcześniéj, ale również w czasie, który latami określić się nie da, szli od Dunaju i z poza Karpat inni znowu poliści, z których jedni w Morawach i Czechach, a drudzy w nadłabańskich krajach, nad Wisłą i Dnieprem osiadając, rozradzali się w przestworze niezapamiętanego czasu, i dopiéro wtedy wystąpili na widowni dziejów, kiedy się zebrali w społeczność towarzyską ukształtowaną porządnie. Świadectwa o ich pobycie w tych stronach są też same co o bytności innych polistów. Góry, rzeki, krajów i kraików nazwiska, stawiają na to dowód, że tylko od strony północnego morza mieszkali Teutonowie a resztę przestrzeni wschodniéj Germanji zajmowali poliści [1]).

Świadczą bowiem dzieje, że w niéj przebywali Polanie [2]) i że coraz więcéj przybywało ich z poza Karpat. Chroniąc się oni przed naciskiem, jak mówi ruski kronikarz Nestor, Wołochów (Rzymian), osiadali bez przeszkody nad Wisłą i nad Dnieprem nie będąc ścigani od wroga, jak niegdyś scytyjscy, i jak azjatyccy Połowcy, Polanami [3]) od kronikarzy mylnie zwani, gdyż ci z łupu a nie z roli żyli.

Byli też tu Łęczanie (Lygii) [4]) nieodstępni Polan towarzysze. Spotkał ich ten sam los co zniemczonych Polan. Podzieleni na zachodnich i wschodnich (Westfalahi, Ostfalahi), niby na Wielko i Małopolan,

[1]) Ueber den Zug der Kelten nach Italien und zum herzinischen Walde von d. z. Wocel Prag 1865. (Jest to oddruk z roczników Tow. Nauk. Czeskiego).

[2]) Grym (w Gesch. str. 568) mówi: πολιστης felahon falhon; Zeuss (w die Deutschen und die Nachbarstämme, str. 390 przyp.) falah ist buchstäblich das slawische poljak oder poljan poljanin.

[3]) Angrivarii. Grym w Wörterbuch p. w. Anger Miklas. Lexicon p. w. rataj.

[1]) Cząsteczkę téj przestrzeni wziąwszy na uwagę Victor Jacobi (w dziele Slaven und Teutchthum. Hanower 1856) wyrzekł (str. '4—5) o niéj, com ja poważył się na całość rozciągnąć.

[2]) Tacyt Germ. 43. Arii (Harii, Gryma Wörterbuch p. w. Arbeit. —

[3]) Zeuss, str. 744.

[4]) Najnowsze gruntownie o nich opracowane dzieło wyszło w Poznaniu: Die Lygier v. Wojciech Kętrzyński.

wsiąkli w massę Swewów już przy pierwszém wystąpieniu w historji zjednoczonych z Teutonami.

Powody zjednoczenia tego pokryte są tajemnicą dziejową, ale że nastąpiło za wspólném porozumieniem się, świadczy współczucie jakie oba ludy miały dla siebie, nie tylko za czasów kwitnącéj lecz i rozprzężonéj rzeszy swewskiéj, czyli wówczas, kiedy rej wodzili w niéj Saksonowie.

Okolicznością tą będąc nader zaciekawiony, postanowiłem z całą na jaką się mógłem zdobyć usilnością zbadać Swewów. Dzielnie, jak rzekłem wyżéj, wsparł mnie w tém uczony Jakób Grym (Grimm), z którym się już w r. 1818 zapoznałem w Kasel, kiedy tamże urzędował jako bibljotekarz, a ja kończyłem swe studja na uniwersytecie gietyńskim (Göttingen). On to, ale mimowolnie, jak się w r. 1856 przekonałem, dopomógł mi do odgadywania wyrazu Swewi; co, jak się dziś pokazuje, nader ozięble przyjęła uczoność niemiecka.

Rzeczony wyraz będąc nazwą swobodnego, nikomu nie podległego ludu [1]), wybornie się nadaje państwu samorząd mającemu. Państwo to wstawiło się w pierwotnéj Germanji wolnością przed wszystkiemi innemi, to Scytom, to Celtom, to Sarmatom, wówczas podległemi krajami. Trzy doby przeżyło. Jedna idzie od Juljusza Cezara, który pierwszy objawił światu Swewów, bo nikt przed nim nie znał ich wcale. Kończy się ta doba na Tacycie, a ustaje z wyczerpaniem pism historyka tego, Trzecia poczyna się z rozprzężeniem Swewji, a kończy na zawiązku Polski,

Opowiadając Cezar [2]) jak przed swoim do Galji przybyciem, dwa tameczne ludy, Sekwanowie i Arwernowie, pragnąc od przodowania całéj Galji usunąć lud trzeci, Eduów miano noszący, wezwały na pomoc Swewów, którzy przybywszy pod wodzą Jarowida (A r i o v i s t u s) rodem Pomorczyka, i porządek w kraju zwaśnionym zrobiwszy, osiadł w nim, i coraz większą z poza Renu ludność za sobą zwabiał. Z ledwością wyparłszy ich za Ren wódz Rzymski, wojował następnie w ich własnym kraju. Urosła ztąd bajka, że Juljusz Cezar zrobil przed wiekami napad na polskie czyli słowiańskie kraje.

Zważywszy co zeznał Tacyt o Swewach, i z tém co zkądinąd o Słowianach wiemy porównywając jego zeznanie, nie będziemy ani na chwilę wątpić, że zkąd Poliści ztąd i rzeczeni Swewowie, czyli z nad dolnego Dunaju przybyli; że do nich znowu przychodzili to ze Skandynawji, to z Galji nowi osadnicy, i że z zawiązanych ztąd stósunków rozwinął się ów stan rzeszy swewskiéj, który ciemno przedstawił nam Juljusz Cezar, gdyż mu go jasniéj albo opowiedzieć nie umiano albo on pojąć go nie był w stanie, albowiem ciągle migał mu przed oczami obraz dawnéj Sparty, lub na koniec że inne jakie przy opowiadaniu nam nie znane zachodziły okoliczności. Daleko dokładniéj opowiedział toż samo Tacyt, który nie dorywczo jak ów słuchał o Germanach a osobliwie o Swewach opowiadania, ale postarawszy się o przedstawienie sobie wyrazisto nakreślonego ich obrazu, wsunął w ramy obrazu tego, cokolwiek o tychże ludach posłyszał; opowiadanie czynione sobie przerywając znać ciągle zapytaniami, i znowu odpowiedzi na takowe prostując, ale nie zawsze szczęśliwie.

I tak opowiedziano Cezarowi, że Swewowie nie chcieli się wcale stosować do zwyczaju, za Alpami i po lewym brzegu Renu już utrwalonego, ażeby obrać sobie gdzieś stałe siedlisko, a nie włóczyć się ustawicznie z jednego miejsca na drugie po upływie roku [1]). On, zamiast odeprzeć to opowiadanie uwagą, że gdy mieszkali w stu powiatach, przeto, mając w nich pobyt stały, musieli albo w zakresie tych tylko powiatów odbywać owe przenosiny, albo należy rozumieć przez to inne wcale, nie co rok, i nie na jedném miejscu ponawiane wędrówki. Liczba téż i ruchawość powiatów powinna go była naprowadzić na myśl, że przez takowe rozumieć należy nie koniecznie obszar ziemi ale pewną ilość mieszkańców jéj lub mieszkań, zwłaszcza gdy mu i o tém opowiadano, że Swewowie nie zwykli całą ludnością chodzić corocznie na wojnę, lecz w liczbie stu tysiąców, i że w takiéj osiadło właśnie sto ludu tego powiatów nad Renem, pod dowództwem dwóch braci, Nazwy i Cymberya, którzy szli do Galji na pomoc Jarowidowi.

Powiedzieliśmy wyżéj o przenosinach owych, że dwojakie rolnictwo, stałe i chwilowe, rozumiemy przez nie. Powiemy niżéj, że liczba rzeczonych powiatów miała ścisły związek z wojskowością Swewów i zarządem ich kraju. Zresztą natrącamy tu o nich to jeszcze, że mieszkający u górnego Dunaju i nad Renem, miewali rzadko, według Tacyta, nieprzyjazne z Rzymianami zajścia [2]), a osiedleni nad Łabą, stojąc ciągle pod bronią przeciwko nim, okazali się dla ówczesnych świata panów nader niebezpieczni. To téż ci, przemyśliwając nad tém jakby rozprządz ich rzeszę, znaleźli na to środek dzielny w nich samych. Używszy go dokazali, że forytowani od cesarzów i wodzów rzymskich na królów znakomici mężowie swewscy, i na odwrót z monarszéj władzy przez intrygi rzymskie ogołacani, przenosili się nad Dunaj dolny wraz ze swemi poplecznikami, wracając tam, zkąd przed tysiącami lat wyszli [3]). Z pozostałym w Germanji motłochem łatwiéj już było poradzić sobie. Zrazu nie skutkował ten środek [4]), przynajmniéj na Jarowidzie nie udał się wcale, ale na Marobudzie i jego krewnych udał się wybornie. Rzecz do tego doszła, że Swewom narzucano królów z obcego im rodu, którzy, jak wyraźnie mówi Tacyt [5]), kierowali się we wszystkiém według Rzymian woli. Środek ten do zupełnego się rozprzężenia rzeszy swewskiéj najwięcéj przyczynił.

Przesadził Guizot w obrazie który w dawnych Germanach nakreślił, a w którym ich z dziczą nowego świata porównał niezgrabnie [6]). Przesadził również Jan Wilh. Loebell [7]), utrzymując, że Germanowie mieli z natury taki w sobie zaród cywilizacji, jakiego żaden po nich lud europejski nie rozwinął w sobie, ani (dodał i to przesadnie) nie rozwinie nigdy. Oba pisarze nie dali żadnego baczenia na różnicę Teutonów a Swewów, ani nie położyli nacisku na ten szczegół, że nie barbarzyńskie, ale pewny już stopień cywilizacji posiadające ludy, musiały się złożyć na ukształtowanie rzeszy drugich, gdy na jéj gruzach ten i ów lud, nowo organizujący swe rządy, znalazł w nich tyle zdrowego budulcu, że mógł go użyć bezpiecznie do budowy swojego państwa.

(Dokończenie nastąpi.)

---

[1]) S u o b a wychodzi na to (mówi Grym) co l i b e r, s u i j u r i s. —

[2]) De bello gal. I. 31.

[1]) Caesar de bello gal. IV. 1. VI. 22.

[2]) Taciti ann. I. 44. Rhaetiae imminentes Svevi.

[3]) Taciti ann. II. 62—4. XII. 29. 30. historiar. I. 2.

[4]) Wyrzucał Jarowidowi Cezar (de bell. Gal. I. 35.) niewdzięczność i przypominał mu, że i n c o n s u l a t u s u o r e x a t q u e a m i c u s a s e n a t u a p p e l a t u s e s s e t.

[5]) Germ. 42. Jam et externos patiuntur; sed vis et potentia regibus ex auctoritate Romana.

[6]) Histoire de la civilisation en France, septième leçon.

[7]) W dziele: Gregor von Tours und seine Zeit i t. d. Leipzig 1839. str. 460—78.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Jenerał zachmurzył czoło i przeszedł się po pokoju w zamyśleniu. Potém stanął przed Oktawem i rzekł poważnie:

— C'est facheux, mon cher garçon! Cóż teraz zrobimy? Gdzie cię poforytuję? Z tem, czego się uczyłeś, potrafisz być tylko wielkim panem, a ponieważ nim nie jesteś, mógłbyś być chyba nauczycielem języków, metrem fortepianu, tancmistrzem lub petit-maître'em do dressowania bogatych dorobkiewiczów......

Widząc udręczoną minę biednego Oktawa, jenerał osłodził cierpkie te słowa wesołym śmiechem, a nadając im tym sposobem cechę żartu, zawołał:

— Tylko czoło w górę! Nie jesteś temu może winien. Gdyby matka twoja była cię przysłała do mnie pięć lat wcześniéj, nie bylibyśmy teraz w kłopocie. No, bądźmy dobréj myśli, wszystko to da się może naprawić. Nie umiesz wprawdzie wiele, ale za to jesteś dzielnym chłopakiem, masz krew w żyłach szlachecką, ogień ci się pali z oczu, jeździsz pewnie doskonale na koniu i broń pokochasz prędko — stary żołnierz opiekować się będzie tobą?... Nieprawdaż?

Oktaw uśmiechnął a przynajmniéj próbował uśmiechnąć się weseléj, jakby rozumiał myśl jenerała i całém sercem ją podzielał.

— Jednakże, mój chłopcze — mówił jenerał daléj, zbliżając się do Oktawa i biorąc go za guzik od tużurka — jeżli chcesz, abyś dobił się stanowiska, którego ci bardzo, bardzo potrzeba, przestań przedewszystkiem patrzyć się na świat z poza aktów tego nieszczęsnego procesu, lub z poza szkiełek twego pince-nez salonowego. Jak mnie tu widzisz, byłem w życiu w gorszéj jeszcze od ciebie pozycji. Za granicą przez jakiś czas żyłem ogołocony z wszystkich środków. Nim z kraju nadeszły mi zasiłki, żyłem długi czas z żołdu podoficera... Rozumiesz dobrze, co to znaczy?...

— Domyślam się... — odparł Oktaw z uśmiechem.

— Żyłem tak długi czas pod niebem afrykańskiém — ciągnął jenerał daléj — dosłużyłem się szlif oficerskich, a już przedtém nosiłem był przecież szlify sztabowe w kraju i duży miałem majątek! Rozpocząłem tedy po raz wtóry moją karjerę. To cięższéj, to daleko cięższéj, mój chłopcze, niźli ją rozpoczynać po raz pierwszy! A przecież przez ten cały czas nie zrobiłem ani szeląga długu, a gdy mi nadeszły wkońcu znaczne pieniądze z kraju, tak się już byłem przyzwyczaił do tego życia, że nie wiedziałem na razie, co z niemi począć. Czy czujesz w sobie siły do tego, mój chłopcze?......

Stawiając to zapytanie, jenerał położył dłoń swą na ramieniu Oktawa i utkwił w nim swój wzrok bystry, przenikliwy, marsowy ....

Oktaw dobywał sił wszelkich, aby nieodegrać przed jenerałem roli smutnéj figury.... Czuł, jak się cały ugina pod tą hartowną dłonią żołnierza, ciężką jak życie, twardą jak konieczność losu; uczuł, że nie ma sił odpowiedzieć na to wejrzenie, energiczne i silne, spojrzeniem również śmiałém i stanowczém...

Na szczęście, jenerał nie długo trzymał Oktawa w téj sytuacji.

— Dość jednak tego, jak na raz pierwszy — rzekł nagle — pomówimy później o wszystkiém obszerniéj... A teraz, mój drogi Oktawie, uważaj mój dom tak, jakbyś był u siebie...... Pójdź, przedstawię cię jego gospodyni.....

Rzekłszy to, jenerał wziął pod ramię Oktawa i wprowadził go do salonu. W gospodyni domu znalazł Oktaw kontrast swego przyszłego opiekuna. Spodziewał się zastać kobiétę już nie młodą, a zatém nie piękną, matronę poważną, która go przyjmie z czułością i z moralnemi pretensjami matki i doda łagodny komentarzyk do nauk jenerała — a spostrzegł kobietę prześliczną, strojną w cały blask urody niewieściéj — kobiétę, która go powitała swobodą młodéj kuzynki, figlarném spojrzeniem pięknych oczu, wesołym i obiecującym uśmiechem ust koralowych.....

Powitany z uprzejmą wesołością, z pustotą pełną kokieterji, ośmielony od razu, Oktaw po pierwszém zaraz widzeniu się z Adelą rzekł sobie z uśmiechem znaczącym:

— Lepszą cząstkę sobie obiorę... Wolę protekcję pani jenerałowéj niźli pana jenerała...

I przyszły mu na pamięć słowa jednego z starych, doświadczonych salonowców, którego poznał za granicą:

— Mój młody przyjacielu — mówił mu ów weteran wielkiego świata — jeźli chcesz zrobić karjerę na świecie, nie trzymaj się mężczyzn, ale kobiét. Wierzaj mi, nie masz potężniejszéj i szczerszéj protekcji nad protekcję pięknéj i znakomitéj damy, zwłaszcza jeżeli cię ona pokocha. Dokąd nie trafi wpływ najwyższych dostojników, tam sięga przyjazne słówko kobiéty. Mężczyzna, choćby był bratem twoim, przyjacielem, krewnym najbliższym, nie uczyni dla ciebie tego, co życzliwa ci kobiéta. Mężczyźni protegują obojętnie, officjalnie i niezręcznie, kobiéty z poświęceniem, z entuzjazmem i z zdumiewającym sprytem... Najgorliwszy, najżyczliwszy nawet mężczyzna protegując cię, pamiętać będzie o tém, abyś w karjerze swojéj nie przewyższył jego własnego stanowiska, kobiéta pragnie i stara się o to, abyś przewyższył wszystkich. Mężczyźni w każdéj protekcji hamują swą gorliwość egoizmem; a egoizmem kobiéty kochającéj ty sam będziesz. Mówią, że talenta i zasługi nie znaczą nic bez protekcji; ja dodam, że protekcja nic nie znaczy bez kobiéty. Grand cordon, mój chłopcze, mniéj znaczy od podwiązki, lepiéj stać w opiece pięknych oczów, niż brylantowych gwiazd dostojników... Niech żyje protekcja kobiét!

Powtarzając sobie te słowa w pamięci, Oktaw uznał, że nadarza mu się teraz najlepsza sposobność wykonania rad swego starego Mentora, i powtórzył z wesołym uśmiechem:

— Niech żyje protekcja kobiét!

Odtąd Oktaw był codziennym, stałym gościem hrabiny Adeli. Jenerałowi oświadczył z poważną miną, że nim stanowczą jaką decyzję poweźmie, zamierza rozpatrzyć się w miejscu, w którém teraz zupełnie jest obcym. Właśnie w porę tę jenerał Rokicki kilka razy wyjeżdżać musiał w pilnych interesach majątkowych, co ułatwiło Oktawowi wielce zbliżenie się do Adeli. Jakie rozmiary przybrał ten stosunek w przeciągu kilku miesięcy, o tém dowiedzieli się nasi czytelnicy zaraz z pierwszego rozdziału téj powieści.

IV.

Karjera Oktawa.

Przyjemnie bardzo rozpoczęło się życie dla Oktawa w nieznanéj mu dotąd stolicy. Potomek rodziny znakomitéj, sławnéj z starożytnego imienia a tak niedawno jeszcze z świetnéj fortuny, młody, dorodny, pełen owych

powierzchownych zalet wychowania i wykształcenia, jakich wymagać zwykł tak zwany świat wyższy, otoczony owym powabem, jaki w płaskich wyobrażeniach niektórych naszych kół towarzyskich nadaje edukacja zagraniczna, Oktaw zabłysnął od razu jak meteor na horyzoncie miasta.

Samo już imię i wychowanie torowało mu drogę do najznaczniejszych domów, cóż dopiero, gdy do tych posiadanych już warunków przybyła opieka Rokickich, trzymających wpływem swym i stanowiskiem berło pięknego świata?... Jarski wpadł od razu w odmęt wystawnego życia. Rozrywano go sobie, pieszczono, podziwiano, a w krótkim bardzo przeciągu czasu młody Jarski wyforytował się na pierwszorzędnego lwa salonowego. Patrzyła na te tryumfy z upodobaniem życzliwéj protektorki hrabina Adela, patrzył zrazu obojętnie sam Rokicki, choć niebawem w duszy niepokoić się począł o losy młodego krewniaka.

Oktaw zajęty życiem, złożoném z ciągłych zabaw i najprzyjemniejszych roztargnień, zapomniał zupełnie o stosunkach swéj matki, o celach swéj podróży, zgoła o całéj przyszłości. Dobrze mu było w wonnéj atmosferze salonów, w gronie nadobnych kobiét, z których najpiękniejsza była mu czémś więcéj, niż mentorką i opiekunką, w kole wesołéj i hulaszczéj młodzieży, która go lubiła, zgoła w całym tym upajającym młode natury świecie szału.

Les beaux jours d'Aranjuez nie długo jednak trwały. Z pod kwiatów młodzieńczych illuzji poczęły się wydobywać ciernie pospolitych przykrości życia. Proza materjalnych stosunków, o których Oktaw nigdy nie myślał, z któréj nigdy rozsądnie nie zdawał sobie sprawy, ozwała się nagle, i to natarczywie a groźnie.

Matka Oktawa, wyprawiając go do kraju, uczyniła najwyższe wysilenie, byle mu umożliwić wystąpienie, jeźli nie wystawne, to przynajmniéj przyzwoite, odpowiednie jego nazwisku. W tym celu opatrzyła go w sumę niespełna 10,000 franków. Trzeba było znać dokładnie stosunki materjalne téj szlachetnéj choć nieroztropnéj kobiéty, aby ocenić taki wysiłek. Oddanie tak znacznéj sumy Oktawowi pociągnęło za sobą nietylko ponowne, tym razem rozpaczliwe prawie nadszarpnięcie kapitaliku, ale zmuszało nadto Jarską do najzmudniejszéj oszczędności na przyszłość. Aby pokryć taki uszczerbek, Jarska zdobyła się na decyzję prawie heroiczną. Postanowiła żyć sama za granicą z rocznego dochodu kilkuset franków, schroniwszy się do małéj mieściny francuzkiéj. Znaczyło to wyrzec się wszelkich przyzwyczajeń dawniejszego lepszego bytu, wszelkich wygód nawet niezbędnych, znaczyło ograniczyć się do życia pełnego dotkliwéj abnegacji.

Tymczasem Oktaw rozpoczął życie kawalerskie na bardzo wystawną stopę. Mając wstęp do najświetniejszych domów, obracając się w kołach najbogatszéj młodzieży, młody nasz bohater uekwipować się musiał odpowiednio do zajmowanego stanowiska. Wrodzona lekkomyślność i próżność nie pozwalały mu obliczać się z stosunkami i zasłaniały przed nim nieprzyjemne a nawet groźne jutro. Oktaw zapragnął jeźli nie przewyższyć, to przynajmniéj dorównać swym bogatym rówiennikom.

Piękny kawalerski apartament, kosztowne meble, kilku służących w gustownéj liberji, wierzchowiec, elegancki tilbury, loża w teatrze — wszystko to zdało mu się być niezbędném do zrobienia karjery. Wszystko to Oktaw mieć postanowił. Gdy jednak obliczył, ile te cacka arystokratyczne kosztować będą, przekonał się, że cały zapas jego nie wystarczy na pokrycie wydatków. Przekonanie to trapiło bardzo Oktawa, lecz wkrótce przestał się kłopotać. Jeden z świeżych jego przyjaciół, a najgłośniejszych *viveur'ów* stolicy, podszepnął mu to powabne a tyle niebezpieczne słówko: *kredyt*.

— Gdybym się nazywał Jarski — szepnął mu zły demon w postaci przyjaciela — gdybym miał miljonowe sperandy z procesu, który musi być wygranym, gdybym był w bliskiém pokrewieństwie z takim Krezusem jak jenerał Rokicki i stał pod wyraźną jego opieką, gdybym w końcu miał kilka tysięcy gotówki w kieszeni — rozporządzałbym olbrzymim kredytem!

Oktaw poszedł niestety za radą koleżki a zostawiając gotówkę na bieżące potrzeby wystawnego życia, począł się ekwipować na kredyt. Udało się to wyśmienicie. Wkrótce Jarski zajmował prześlicznie urządzony apartament kawalerski, posiadał ładnego wierzchowca, elegancki faetonik, najwytworniejszą garderobę, stałą lożę w teatrze, zgoła wszystko, co daje pozory świetnego bytu.

Tym sposobem wyforytował się Oktaw na prawdziwego bohatera arystokratycznego tonu i modnéj elegancji. Uchodził za wzór młodego człowieka z wielkiego świata. Z pozornym tym zbytkiem było mu ślicznie do twarzy; kobiéty kokietowały go na zabój a młodzież cała zazdrościła mu serdecznie. Krótko jednak trwały chwile tryumfu. Kredyt nie opiera się na samém pożyczaniu, a samo debet fatalnym jest źródłem wydatków. Uczuł to niebawem bardzo dotkliwie Oktaw.

Do wydatków, jakie pociągało za sobą koniecznie utrzymanie owych pięknych dekoracyjek arystokratycznego życia, przybyły i wydatki nadzwyczajne. Żyjąc w gronie bardzo bogatéj a hulaszczéj młodzieży, trzeba było koniecznie naśladować ją we wszystkiém, trzeba było dopuszczać się niekiedy szalonych wybryków, jak to mówią *faire des folies*, trzeba było zasiąść dość często do zielonego stolika i z dobrą miną przegrać znaczną sumę, która pokryć miała potrzeby całego miesiąca.

Taka droga pochyłą jest i śliską; szybko się po niéj pędzi a zatrzymać się tak trudno!... Po półrocznym pobycie w kraju Oktaw znalazł się w rozpaczliwém położeniu. Było to już w jakiś czas po owéj scenie na balu i po wyjeździe Rokickich na wieś. Jenerał przedtém kilka razy próbował wybadać Oktawa, co z sobą uczynić myśli, ale trafiając zawsze na odpowiedzi niechętne i wymijające, zajmować się nim przestał. Napisał tylko do Jarskiéj, że Oktaw zdaje się mieć plany, do których urzeczywistnienia pomocy jego nie potrzebuje.

Jarska domyśliła się złéj wróżby w tym liście, i zatrwożyła się bardzo o dalsze losy Oktawa. Na zapytania jéj i obawy umiał jednak Oktaw odpowiedzieć tak uspakajająco, z taką pewnością blizkiéj karjery, że łatwowierna matka przestrogę jenerała przypisała jego pedantyzmowi, a zaufała zupełnie sercu i rozumowi ukochanego jedynaka.

Tymczasem Oktaw znalazł się w sytuacji, z któréj nie widział wyjścia. Jeszcze nie miał był czasu pomyśléć nawet o sobie, jeszcze nie zdobył się był na to, aby odwiedzić adwokata, w którego ręce oddanym był ów wielki proces jego matki — a już nietylko że nie posiadał ani szeląga z przywiezionéj sumy, ale nadto obciążony był długami, które drugie tyle wynosiły.

Do matki udawać się o pomoc nieśmiał, do jenerała Rokickiego wstydził się, kredyt przyjaciół został już wyczerpanym, a w kleszczach lichwy znajdował się już i tak od niejakiego czasu Do utrudnienia sytuacji przyczyniło się i to jeszcze, że matka przesłała na ręce jego znaczną sumę przeznaczoną dla adwokata. Pieniądze te odebrał Oktaw w chwili, kiedy w najprzykrzejszym znajdował się kłopocie. Lekkomyślność i desperacka chęć przedłużenia pozorów świetnego bytu, podyktowały Oktawowi czyn, który ciężkim wyrzutem przytłoczył jego sumienie. Nie oddał pieniędzy, komu należało, choć od tego zawisł był cały los procesu, jedynéj nadziei matki i jego samego.

Pewnego dnia, kiedy Oktaw zajęty był niespokojném i trwożném rozmyślaniem o swojéj sytuacji, zjawił się

u niego mężczyzna poważny, podeszłego już wieku, z wyrazem ujmującéj poczciwości na twarzy, otoczonéj dobrze siwemi już włosami.

— Jestem adwokatem pani hrabiny Jarskiéj — ozwał się do Oktawa. — Od długiego czasu wiém już, że hrabia przebywasz we Lwowie, i niecierpliwie go co dnia oczekuję... Mniemałem, że pan raczysz odwiedzić człowieka starego, któremu ojciec pański niegdyś ufał i któremu matka pana powierzyła prowadzenie swych interesów. Pani hrabina zapowiadała mi dawno pańskie przybycie...

— A! przeprosić muszę pana najmocniéj — rzekł z pomięszaniem Oktaw — wybierałem się ciągle, ale, wierz mi pan, ani czasu ani swobodnéj myśli do tego nie miałem... Zresztą ten proces, na którym tyle nadziei pokładamy, nie może być w lepszym ręku, a osobisty mój udział nie jest w nim zapewne potrzebnym...

Stary adwokat uśmiechnął się na tę exkuzę i na zawarty w niéj komplement i odparł:

— Nie byłbym się nigdy sam przypominał panu hrabiemu, gdyby nie bardzo ważna, i bardzo pilna okoliczność... Najpierw muszę panu oświadczyć, że proces bierze obrot stanowczo dla nas przychylny. Nie mówię panu tego w tym celu — dodał patrząc poważnie w oczy Oktawowi — aby upoważniać pana do śmiałych przypuszczeń i przedwczesnego tryumfu... Przeciwnie, najmocniéj i jak przyjaciel przed tém ostrzegam! Wiem z prawniczego doświadczenia, że nawet bardziéj ugruntowane nadzieje zawodziły...

— O cóż tedy chodzi? — zapytał niespokojnie Oktaw.

— Pisałem do pani hrabiny kilka tygodni temu, że potrzeba nam do zwycięzkiego ukończenia procesu jednéj jeszcze, ostatniéj już, ale znacznéj sumy. Matka pańska odpisała mi, że jakkolwiek znajduje się obecnie w najprzykrzejszém położeniu materjalném, ogołaca się jednakże z wszelkich funduszów i sumę żądaną mi nadsyła na ręce pańskie... (Ciąg dalszy nastąpi.)

Toast na cześć Wielkopolski

przez

Kornela Ujejskiego

Szanownym pułkownikowi Callier'owi i Jego małżonce na pamiątkę d. 14 sierpnia 1871 we Lwowie.

Każą mi bracia toast wznieść,
Więc staję.
Nad inne polskie kraje
Téj ziemi cześć,
Téj ziemi cześć i chwała,
Co białe orły wydała!

Orłowy lot, to w niebo i słońce —
Białość, to czystość ducha i prostota.
Polacy! Wyście tych potęg obrońce,
To waszych dziejów robota.

Czy chcecie, czy nie chcecie,
Czém kazał Bóg — będziecie!
On rzekł: Ludzkości kiedyś na zbawcę
Wezwę naród pokutny, syna-marnotrawcę,
Z krwi morza on w słońce chwały
Wzleci jak orzeł biały!

Dziś my w upadku, a nie dla tego,
Że naszą wolę łamią i strzegą —
W nas, w nas to samych psuje się wola,
W tém najstraszniejsza niewola!

Czy chcemy, czy nie chcemy,
Czém kazał Bóg — będziemy!
Jeśliśmy z grzechów dotąd krwią nie zmyci,
To dłużéj będziemy bici,
Aż nie dorośniem pomału
Do wytkniętego ideału.

Szerzy się w sercach i mózgach zaraza;
Idzie wiek straszny pychy i żelaza;
Padną tyrani wielcy, zastąpią ich mali,
Równie bezbożni a bardziéj zuchwali.

I wytknie im się droga
Bez Boga.
I porwie ich zawierucha
Bez ducha.
I poczną żywot w bydlęcéj niskości
Bez pieśni i bez miłości!

....

O Polsko nasza, przyszła matko ludów!
Po nad kałuże krwi i ścieki brudów
Ty wtenczas prawa boże i święte zwyczaje
Będziesz na białém orlém skrzydle nieść!

....

A więc nad wszystkie świata kraje
Téj ziemi cześć,
Téj ziemi cześć i chwała,
Co białe orły wydała!

Z PIŚMIENNICTWA POLITYCZNEGO.

Zbliżająca się w przyszłym roku stuletnia rocznica pierwszego podziału Polski, będzie zapewne przedmiotem licznych artykułów i pism politycznych ulotnych. Bo nie tylko zamach na niepodległość i całość rozległego narodu, po jego blisko tysiącletniém dziejowém istnieniu, nadzwyczajném był historyczném zjawiskiem, ale i cały późniejszy rozwój politycznych stosunków w Europie, najściśléj był połączonym z faktem rozbioru Polski. I nie może być inaczéj. Dla kogo państwa i narody nie są przypadkowym, mechanicznym ustrojem, ale kto się na nie patrzy jako na żywe, wielowiekowe dziejowe organizmy, o pewnych celach ich przeznaczenia i o pewném społeczném i politycznem ich posłannictwie, — ten uczuć musi nietylko cały dissonans, rozlegający się szeroko w dziejach, z powodu zerwania jednéj strony historycznéj harfy, na któréj wzniosły hymn żywota i postępu ludzkości się odgrywa; ale i pojąć powinien nieustające różnorodne starcia, zawikłania i przeszkody, jakie ztąd

koniecznie następować muszą, gdy naród dziejowy, szeroko rozsiadły i wielomiljonowy, przestawszy być samodzielnym czynnikiem wielkiéj polityki, rozdzielon został na trzy części i służyć ma za narzędzie celów i środków trzech zaborczych mocarstw, odrębnych mu wszystkiemi interesami przeszłości i przyszłości. Sto lat minęło i nic się nie zmieniło w narodowéj żywotności ludów, stanowiących niegdyś rzeczpospolitę polską. Co drugie sto lat przyniesie, trudno wypowiedzieć; ale to pewna, że póki pomieniona siła żywotna trwać będzie, mimo prześladowań i napływu cudzoziemczyzny, póty istnieć będzie kwestja polska i wchodzić w zakres polityki europejskiéj.

Ważny to nadzwyczajnie temat, i dla tego sądzę, że wywoła na pomienioną stuletnią rocznicę zdatne polityczne pióra, nietylko polskie ale i obce, które się nad znaczeniem tego historycznego wypadku w ubiegłém stuleciu zastanowią, i o jego możliwém rozwiązaniu rozpiszą. Początkiem owéj literatury politycznéj, nad tym szczegółowym tematem, jest pismo p. Ludwika Żychlińskiego, które co dopiéro opuściło prasę i jest ułożone w niemieckim języku pod napisem: Es ist Zeit. Ein Memorandum an Deutschland, stronnic 95, w drukarni poznańskiéj Merzbacha. Autor, bliższy nasz współziomek, były poseł na sejm berliński, znany zaszczytnie już z kilku innych prac publicystycznych, każe się spodziewać, że i w obecnéj ważnéj kwestji z niepospolitemi i niepowszedniemi wystąpił uwagami. Dziennik Poznański w odcinku wyrzekł już o nich swoje zdanie i nie powiem, żeby było pochlebném. Chociaż tego wyraźnie nie wypowiada, zdaje się przecież uważać pracę autora za niepraktyczną i bezpożyteczną, za jedną z tych, którą już wielekroć traktowali swoi i obcy. Nazywa ją powtórzeniem tego, co już 1870 r. przychylny nam Gottfried Kinkel wypowiedział. Nie zgadza się z kilku zapatrywaniami historycznemi tego pisma, a oparcie restytucji Polski na nieszczęściu naszém, które jest bezsilne, i na interesie nowéj niemieckiéj ojczyzny, który Niemcy lepiéj od nas rozumieją, mieni być bezzasadném, świętéj sprawy naszéj niegodném i dla tego bezskuteczném.

Zaprawdę, czytając wywody szanownego recenzenta, acz nie podpisanego na odcinku Dziennika Poznańskiego, nie można się na nie nie zgodzić. Przebija z nich wytrawna myśl polityczna i jasne, godne pojęcie sprawy polskiéj. Jednakże pominął recenzent i dobre strony tego pisma, których mu odmówić nie można. Nicuje pracę z polskiego stanowiska, kiedy autor, Polak rodem, napisawszy rzecz w niemieckim języku, napisał ją oczywiście dla Niemców, bo do nich wyraźnie wystósowaną, a nie dla Polaków. Wątpię, aby mu chodziło o jéj praktyczny skutek, aby sądził, że osoby, które dziś dzierżą losami Niemiec, albo publicystyka niemiecka po przeczytaniu jego odezwy sprawę tę natychmiast podniosą i w życie przeprowadzą. Pod tym względem niniejsza praca autora, jak tyle innych poprzednich, zaledwie wywoła kilka uszczypliwych wspomnień po pismach niemieckich, kilka rzuconych uwag o „naiwności autora“ i pójdzie w zapomnienie nie dla tego, żeby przytoczone przezeń powody były niedorzeczne, lub fałszywe; ale dla tego, że niemoce polityczne nie leczą się receptami, które choćby najwięcéj utalentowany publicysta zapisuje, i że kroczący przez dzieje duch czasu nie pyta o monograficzne rozprawy, ale środkiem namiętności i rozumu, środkiem przewidzeń i uchybień, środkiem tysiąca przewidzianych i nieprzewidzianych okoliczności, wzmacnia jedne państwa a drugie osłabia, jeden naród do potęgi, drugi do upadku prowadzi — a zawsze po drodze, którą Opatrzność ludzkości nakreśliła, aby się coraz wyżéj rozwijała, i w doskonałości i sprawiedliwości rosła. Wypadki nadzwyczajne ostatniéj wojny między Francją i Niemcami nauczyćby nas były powinny, jak mylnemi bywają wszystkie rachuby polityczne, jak plany skrupulatnie obliczone jedne chybiają, drugie niezwykłém powodzeniem się szczycą, jak stać się może nawet to, czegoby rachmistrz polityczny i we śnie nie przypuścił. Jedyne wielkie mocarstwo, które szczerze i trwale sprzyjało Polsce upadło, a nawet wypędziło Polaków z urzędów i z kraju swego; — jedyne państwo, które się bez ogródki odzywało za Polską — Papież — znikło z widowni politycznéj.

Smutne to a nigdy nie przewidywane następstwa dla nas z ostatniéj wojny; kiedy z innéj strony niesłychane prześladowania i wytracania imienia polskiego, to znów dumne naigrawania się z nas i cudzoziemczenia nas wzmogły się do bezkarności i politycznego cynizmu. Wśród tak okropnego stanu rzeczy dla nas, woła autor pomienionego pisemka, na Niemce „Już czas! obaczcie się, i restaurujcie Polskę, bo to jedyne wasze zbawienie od grożącego wam zalewu ze strony Rosyjskiego barbarzyństwa!“

Nie podziwi nas, że taką odezwę Niemiec nazywa „naiwnością“ My to nazywamy zadokumentowaniem wiary naszéj niezłomnéj w sprawiedliwość Bożą, która rządzi losami narodów; — a po upływie stuletniéj niewoli i nieustającego prześladowania, tudzież najrozliczniejszych klęsk, po powtarzających się porywach do niepodległości, zamanifestowaniem żywotéj siły naszéj narodowéj, która i w tém ostatecznym ubytku wszelkich przyjaznych nam dotąd żywiołów i w tém osłabieniu i opuszczeniu od wszystkich, co nas kiedyś znali i szanowali, jeszcze poczuwa się do życia samodzielnego, i gdy już sama zerwać się nie może, szuka porosłéj co dopiéro w potęgę i w jedność Germanji, aby ją dla własnego swojego interesu podniosła i wskrzesiła.

Oto punkt, z którego, na znaczenie broszury pana Ludwika Żychlińskiego zapatrywać mi się należy. Wynika ztąd cała téj pracy zaleta, ale i jéj niedomaganie. Objaśnijmy kilku słowami i jedno i drugie.

Autor nie na samym interesie Germanji opiera potrzebę restytucji Polski, wychodzi i owszem z dwóch głównych podwalin téj kwestji: jéj praw naturalnych, jako narodowości do tego powołanéj i jéj praw historycznych dokumentujących nawet w stuletnim przebiegu politycznego upadku narodu, jego żywotność i jego uprawnienie do bytu. Nie wchodzimy w rozbiór i krytykę szczegółowych zapatrywań się autora, mianowicie, co było powodem Alexandrowi I. iż utworzył konstytucyjne królestwo kongresowe, a prawie samowładnym namiestnikiem tego królestwa zrobił najniekonstytucyjniejszego brata swego Konstantyna: — tudzież co skłoniło Austrję, iż postawa jéj w czasie powstania 1831 r. tak była ruchowi naszemu nieprzychylna. Są to zadania, dające się tylko rozwiązać, przez troskliwe badania odpowiednich archiwów dyplomatycznych. Bez nich nigdy jasno w tych sprawach widzieć nie będziemy wszakże domysły w téj mierze wyrzeczone, czy prawdziwe, czy mylne nie mają nic essencjonalnego. Główną rzeczą było wykazanie praw naszych narodowych, podobnie uzdolnionych do utworzenia jednego samoistnego państwa, jak świeżo na téj zasadzie zostały ukonstytuowane Włochy i Niemcy; oraz wypowiedzenie zdolności naszéj politycznéj wstąpienia w poczet niepodległych państw Europejskich, czerpiąc ku temu dowody, z wypadków porozbiorowéj Polski. To naszém zdaniem konieczny i logiczny związek rzeczy, i autor mu główną część pracy swojéj poświęcił, nie powiem, żeby ją wyczerpał. Położył główny i mocny przycisk na zaborczy i anticiwilizacyjny system Moskwy, na jéj nieustające machinacje, dążące do mięszania się w sprawy Polski, do osłabiania jéj sił wojskowych, do podtrzymywania zgubnych instytucji pod firmą złotéj szlacheckiéj wolności, a wywracania wszelkich pożytecznych reform, nareszcie w połączeniu z dwoma sąsiedniemi mocarstwami do zupełnéj zagłady saméj niepodległości Polski, którą dziś w prowincję rosyjską z nazwą Nadwiślańskiego kraju z azjatycką bezwzględnością przeobraża. Autor z całą

śmiałością i patrjotyczném oburzeniem te moskiewskie roboty opisuje, wskazując oraz, że ten sam system intrygowania rozwija Rosja względem Turcji i Austrji. Mniéj o wiele i jakby z pewną rezerwacją wspomina o udziale dwóch innych mocarstw w podziale Polski i o ich germanizacyjnych kierunkach. A jednak, nie aby podburzać umysły, cobyśmy uważali za fałszywą dążność, ale aby wykazać wielką żywotność narodowości polskiéj, trzeba było odsłonić wszystkie germanizacyjne rozporządzenia tak Prus jak Austrji, w administracji anektowanych obszarów niegdyś polskich, które nietylko nie dopięły wynarodowienia Polaków, ale i owszem miejscami jak na Szląsku przenarodowiły niemieckie rodziny na polskie, i okazały naraz tam ducha narodowo polskiego, jak w Cieszynie, na Górno-Szląsku i w prowincji Prus zachodnich, gdzie się wielom zdawało, iż tam już zupełne zniemczenie nastąpiło.

(Dokończenie nastąpi.)

Korespondencja ze Lwowa.

Lwów, dn. 17 sierpnia 1871.

O zjeździe sierpniowym.

W starożytnéj Grecji niezwykły ruch budził się co cztery lata na olimpijskiéj dolinie Alfeju; synowie Hellady, rozrzuceni w kolonjach po całym ówczesnym obszarze świata, zbiegali się dla święcenia narodowego święta Olimpiady. Obok zapasów i gonitw, stanowiących rdzeń obchodu, przybyli Grecy przypatrywali się perłom greckiéj sztuki, złożonym w świątyni Zeusa lub przywiezionym umyślnie na ten obchód przez sztukmistrzów. Pindar piał ody na cześć zwycięzców olimpijskich, najznakomitsi poeci i uczeni przedkładali zgromadzonéj Grecji w żywém sprawozdaniu płody swego genjuszu; greccy mieszkańcy Galji i wybrzeżów morza Czarnego spotykali się, poznawali i dowiadywali, co się w każdym kątku świata greckiego, co się w jego jądrze, w Helladzie, działo. Po skończonym obchodzie Grecy rozjeżdżali się do ognisk domowych, rozbudziwszy poczucie jedności narodowéj, dorzuciwszy drzew do ognia miłości ojczyzny, narażonego na zagaszenie w rozprzężeniu polityczném, które świat grecki rozrywało.

Dzisiaj koleje żelazne roznoszą na wszystkie strony sprawozdania o wszelkich ważniejszych wydarzeniach w każdym kątku kraju, — roznoszą drukowane płody literackie i ryciny dzieł sztuki, — dziś prasa i para wzięły na siebie część misji dawnych igrzysk olimpijskich. Żadna jednak machina nie dopełni drugiéj części zadania podobnych obchodów, części czysto moralnéj, aby wśród życia powszedniego, dostarczyć od czasu do czasu choć kilka kropel silnego nektaru uczuciom patrjotycznym, aby wzajemném poznaniem i uściśnieniem bratniém ożywić miłość wzajemną narodu i poczucie jedności narodowéj, na to potrzeba i dzisiaj igrzysk olimpijskich. Narody cieszące się wolnością i niepodległością, skonsolidowane w jednolitą całość, mogą nie pojmować téj potrzeby: nasze stuletnie koleje rozerwały naród na kilka części odrębnych, które potrzebują niezbędnie ciągłego odświeżania węzłów braterstwa. Każda prowincja zaskorupiła się pod pewnym względem w sobie saméj, — stosunków bliższych, prawdziwie bratnich nie wiele dzisiaj pomiędzy pojedynczemi dzielnicami; każdy więc żywszy objaw idei jedności narodowéj jest podwójnie ważnym: obwieszcza światu, iż nieustannie czujemy się jednym narodem i ściśnia węzły braterstwa między nami.

W kilku dniach ubiegłych święciliśmy pod Zeusową świątynią kopca unji polskie igrzyska olimpijskie XIXgo wieku.

Niezwykły ruch, ozdobne przystrojenie ulic i w ogóle jakaś świąteczna atmosfera znamionowała poranek dnia 13go b. m. Mnóstwo ludzi zalegało obszar przed dworcem, w samym budynku roiły się na korytarzach tłumy niecierpliwych Lwowian. Na peronie przywitali przybyłych gości: prezydent miasta Dr. Ziemiałkowski, przewodniczący komitetu obchodowego Dr. Smolka i jego zastępca p. Wal. Podlewski kilkoma krótkiemi słowy przywitania; odpowiedzieli również kilkoma wyrazami przywódzca Krakowian Dr. Weigel, w imieniu Wielkopolan p. Krzyżanowski, a po serdecznéj przemowie Maślanki, włościanina z pode Lwowa, zakończył szereg przywitań ks. Oreł, mówiąc imieniem Szlązaków. Po przemowach zajął się komitet kwaterunkowy odwiezieniem i rozmieszczeniem gości; u wyjazdu z dworca stała ozdobnie przystrojona brama tryumfalna; cała droga do miasta była również dekorowaną.

Południe zeszło na pierwszych krokach poznania się między gospodarzami i gośćmi; po południu, po 3 godzinie wystrzały moździerzowe zwołały liczną publiczność do ogrodu jezuickiego. Stąd wyruszył uroczysty pochód na kopiec unji lubelskiéj; towarzystwo gimnastyczne Orła białego i obie straże ogniowe ochotnicze (krakowska i lwowska) przywodziły pochodowi; daléj postępowały rozmaite chorągwie, wśród których jaśniał sztandar, uszyty przez Krakowianki na pogrzeb Kazimierza W. (r. 1869) a niesiony obecnie przez Krakusa w czerwonéj konfederatce, — tłumy gości i Lwowian postępowały za chorągwiami. Pochód przechodził uroczyście przez całe miasto, a droga dość długa, uciążliwą była nieco z powodu dokuczliwego skwaru; pomimo trudzącego pochodu radosny ale uroczysty nastrój malował się na wszystkich twarzach. Liczne zgromadzenie oczekiwało już na pochód na kopcu; — po przybyciu pochodu cały obszar obok wznoszącego się kopca oblewało morze falujące tysięcy głów. Pierwszy przemówił w imieniu komitetu kopca Dr. Franciszek Smolka. Wybranie tego rodzaju pomnika na uczczenie pamięci dnia 11go sierpnia 1869 objaśnił trzema powodami: sypanie podobnych pomników jest właściwém wszystkim ludom słowiańskim, — do jego wzniesienia mogą się przyczynić zarówno wszystkie, nawet najniższe warstwy społeczeństwa, — wreszcie kopiec jest najtrwalszym ze wszystkich pomników. Zakreśliwszy plan przyszłego kopca, zastanowił się mówca nad ideą, która ma przyświecać jego sypaniu, szukając jéj w fakcie, na którego cześć kopiec powstaje; jest to idea braterstwa ludów, idea wspólnéj pracy na drodze cywilizacji i postępu, przy niewzruszonéj obronie sztandaru narodowego. Po przemowie Dr. Smolki wsypano wszelkie nadesłane dotychczas ziemie ze wszech stron Polski i z innych miejsc ważnych dla narodu (między innemi z Wawelu i kopców krakowskich, z grobu Kościuszki w Solurze, z Sybiru, z Warszawy, z Gniezna, Kruszwicy, Racławic, Cieszyna itp.). Po wsypaniu ziem przemówił p. Ignacy Moszczeński, Wielkopolanin. Podniósłszy przesiąknięcie wszystkich warstw społeczeństwa naszego miłością ojczyzny, jako rezultat stuletniéj naszéj pracy w niewoli, objawił nadzieję lepszéj przyszłości, niewiadomo jeszcze w jakich warunkach i okolicznościach. Zakończył słowami bratniemi, zwróconemi do Rusinów, przemawiając w imieniu Wielkopolan, a zwłaszcza w imieniu wielkopolskiego duchowieństwa, niesłusznie pomawianego o brak patrjotyzmu.

Po krótkich przemowach Dr. Warszauera z Krakowa i Morgenbessera z Czerniowiec, odezwał się poczciwy Krakus o czerwonéj konfederatce, ze sztandarem

Kazimierza W. w ręce: „Przynoszę Wam chorągiew z wizerunkiem króla Kazimierza, abyście ją przechowali na lepsze czasy. Składam ją w ręce szan. prezesa kopca unji, jako depozyt. Niech żyje Polska. Jeszcze Polska nie zginęła!“ Inny włościanin z pode Lwowa, Maślanka dołączył również słów kilka. Oby entuzjazm, który te przemówienia włościan wywołały, nie był objawem efemerycznym, ale przeniknął rzeczywiście społeczeństwo nasze i przeszedł ostatecznie w czyn, oby wywołał szczere, istotne zajęcie się losem i oświatą ludu, — a wtedy przy przyszłych zjazdach narodowych będziemy oglądać już nie jednostki, ale masy całe tego rdzenia narodu.

Z kopca udała się cała publiczność do ogrodu na strzelnicy, gdzie był festyn ludowy na korzyść Towarzystwa Opieki Narodowéj. Festynowi temu brakowało kapeli, któréj władze wojskowe odmówiły, — natomiast męzki chór amatorów wykonał kilka śpiewów. Osób było mnóstwo, losy rozprzedano wszystkie, więc Towarzystwo Opieki Narodowéj zebrało plon nie mały; nie jednemu biedakowi, ofierze naszych walk narodowych, ulży niedolę świąteczny dzień 13 sierpnia. Do ozdobienia i uświetnienia tego festynu przyczyniły się ognie bengalskie i obrazy z żywych osób. *).

W poniedziałek i wtorek godziny nie objęte programem przyjęcia spędzali goście na zwiedzaniu miasta, otworzonéj właśnie w czasie zjazdu wystawy obrazów ze spadku po majorze Kühnlu (który zbiorek swój w części Zakł. Ossolińskich, w części miastu zapisał), bibljoteki i zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich i t. p. Równocześnie zapoznawali się bliżéj goście i gospodarze, co za najpiękniejszy może wynik zjazdu uważać należy. Oprócz prywatnego zaznajomiania po domach, poznawały się pokrewne sobie korporacje, zwłaszcza lwowskie z krakowskiemi. O godz. 12. odbył się wykład p. Henryka Szmitta o Kołłątaju, na korzyść budowy teatru poznańskiego. Osób była niewiele, gdyż goście obracali czas na poznawanie miasta a Lwowianie zajęci byli gośćmi; przecież przyniósł ten wykład dochód 50 florenów.

Po południu odbył się bankiet na strzelnicy miejskiéj. Goście bankietowi słyszeli kantatę utworu p. Czerwińskiego, dorobioną do okolicznościowego, polsko-ruskiego wiersza p. Platona Kosteckiego, Kornel Ujejski zaimprowizował natchniony wiersz, który późniéj własnoręcznie napisał dla Tyg. Wielk. Z pośród kilkunastu mów toastowych (Podlewskiego, Weigla, Ziemiałkowskiego, Warszauera, Kamińskiego, Moszczeńskiego, Romanowicza, Orła, Badury, Reja, Gromana i i.) podnieść należy mowy Weigla, Romanowicza i Badury. P. Weigel, wiceprezydent Krakowa, wskazał w zjazdach w czasie dzisiejszym się odbywających dwie kategorje: zjazdy z naukową barwą i zjazdy mające na celu poznanie i pokochanie się braci; zjazd lwowski zaliczył do drugiéj kategorji. Jest on więc wyrazem zgody, tyle potrzebnéj każdemu społeczeństwu, a zwłaszcza naszemu narodowi, zgody między wszystkimi stanami, a szczególnie między inteligencją a mieszczaństwem, tym stanem średnim, któregośmy do niedawna nie mieli. Ztąd wniósł toast na cześć miasta Lwowa, gdzie to mieszczaństwo od niedawnych lat tak się dźwignęło i podniosło do poczucia patrjotyzmu. — P. Romanowicz rozpoczął piękną swą mowę przypomnieniem, że się kończy wiek cały naszéj niewoli; nadzieję skruszenia pęt téj niewoli żywić możemy o tyle, o ile w sobie samych wzbudzimy potrzebną siłę. Dzisiejsze nasze społeczne stosunki nie są bynajmniéj świetne, — do odzyskania wolności potrzebujemy dźwignięcia się z tego położenia, a to wymaga pracy w dwóch kierunkach: oświaty i bytu materjalnego społeczeństwa. Ztąd wniósł toast na udawanie się prac narodowych. Ks. Badura dziękując za serdeczne przyjęcie, jakiego doznali Szlązacy, którzy mrówczą pracą, mimo nieprzyjaznych stosunków jak na dziś nadzwyczaj wiele zdziałali, wniósł toast na cześć drobnéj, mrówczéj a potężnéj pracy.

Przy bankiecie zebrał p. Wł. Bełza po krótkiém ale jędrném przemówieniu 382 fl. na teatr poznański.

Wieczorem po bankiecie odbyło się teatralne przedstawienie w ogrodzie p. Zawadzkiego za miastem. Odegrano pierwszy akt Krakowiaków i Górali i przedstawiono okolicznościowy obraz z żywych osób. Wybór sztuki był o tyle stosowny, że ta operetka ludowa, wesoła a patrjotyczna nadawała się do uroczystości zjazdowéj, — powplatano w nią wcale luźnie okolicznościowe śpiewki ludowe z powodu zjazdu; urządzenie jednak całe było bardzo liche a ciemności przy wychodzeniu z teatru pozostawiły bardzo niemiłe wrażenie.

We wtorek o 11 godzinie odbył się deklamacyjny koncert p. Alexandra Chodeckiego. Połączenie muzyki z deklamacją jest myślą nadzwyczaj szczęśliwą; tony muzyki, zdolne silniéj wycieniować najsubtelniejsze odcienia uczuć, dopowiadają to, czego nawet znaczny deklamacyjny talent p. Chodeckiego wyrazić nie zdoła i potęgują ogólne wrażenie. Szczególnie piękną była deklamacja wiersza Mirona: „W szpitalu“ i Czarnego szala Ujejskiego.

Nad wieczorem rozpoczął się festyn w ogrodzie pojezuickim, połączony z balem w sali umyślnie na ten cel urządzonéj. Wieczór ten pożegnalny udał się wybornie; cały ogród rzęsiście oświetlonym był mnóstwem iluminacyjnych słupków po całym ogrodzie rozmieszczonych, — w górnéj części ogrodu, na miejscu z sali widzianém lśnił świetlany, iskrzący napis: „Do widzenia!“; piękne ognie sztuczne uświetniały całą uroczystość pożegnalną. Podczas zabawy z początku panowało nieco sztywności; późniéj jednak goście balowi poznajomili się ze sobą i zabawa odbywała się ochoczo. Sala świadczyła także dobrze o smaku estetycznym komisji urządzającéj, — kapela grała dobrze, a gra jéj była tém milszą, ponieważ z jéj pomocą obeszło się bez muzyki wojskowéj, z którą nam taki zawód w niedzielę zrobiono. W sali balowéj, gdzie wszyscy goście i wielu Lwowian w miejscu zamkniętém się znalazło, zawiązało się najwięcéj znajomości; mieliśmy sposobność poznać osobiście wielu Szlązaków i Wielkopolan i Krakowian a i niejednego z pod zaboru moskiewskiego, który cichaczem cieszył się z wesołego zjazdu braci. Zabawa skończyła się po czwartéj godzinie z rana.

Część gości odjechała wprost z balu na dworzec, — inni zatrzymali się do czwartku, — nie wielu pozostało jeszcze. Odjeżdżający pozostawili w pamięci gospodarzy nie zatarte ślady; póki życia pamiętać będziemy miłych gości, z którymi tych kilka dni spędzonych bez przesady i obłudy nazwać możemy jednymi z najprzyjemniejszych.

Czyż więc marnie przeszedł ten zjazd lwowski? Nie! były to ważne dnie w dziejach naszych tegorocznych. Mniemającym, że miłość ojczyzny może istnieć silnie i bez głośnych objawów, odpowiemy, coby powiedzieli o rodzinie, któraby się kochała, ale zachowywała się względem siebie zimno i nie starała się zejść od czasu do czasu. Mówimy wiele o braterstwie pomiędzy pojedynczemi dzielnicami Polski, ale braterstwo to nigdy nie będzie potężném, póki prócz idealnego swego charakteru nie będzie sumą osobistych bratnich, przyjacielskich stosunków pomiędzy mieszkańcami pojedynczych dzielnic. Członkowie jednego narodu, pozawie-

*) Wieczorem tego samego dnia wyjechał ze Lwowa Dr. Fr. Smolka, przewodniczący komitetu przyjęcia gości. Dla wyjaśnienia rzeczy dodać możemy, że Dr. Smolka będąc podczas pobytu w Wiedniu wybranym przewodniczącym komitetu chciał za przybyciem do Lwowa złożyć natychmiast powierzoną mu godność, wiedział bowiem, że będzie musiał wyjechać w tym czasie. Znaglony namowami przyjął powierzoną godność i zatrzymał się do 13 b. m.

raliśmy ze sobą stosunki i znajomości, — niejedna znajomość na zjeździe w atmosferze pełnéj miłości zawarta, dojrzeje w przyjaźń świętą i świeżą, — a duch wzajemnéj miłości bratniéj, który nas owionął, jest przecież najpotężniejszym czynnikiem świętéj miłości ojczyzny. S. A. S.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Bank zabezpieczenia na życie Dr. Rejewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Czytelnicy Tygodnika Wielkopolskiego darują, że się podejmuję w ciasnych ramach przedstawić treść wspomnionéj Dr. Rejewskiego broszurki, by im pokazać jakim sposobem, jeśli już wciąż chcemy mieć nieco idealnego polotu, dojść przynajmniéj do tego, by nam w końcu tchu nie zabrakło i sił do poruszania naszych ikaryjskich skrzydełek.

Nasamprzód powiem czytelnikom, że należę do tych, co to utrzymują, że bez pracy nie ma kołaczy! że jednak bez oszczędności nie będzie chleba na jutro, bo moja modlitwa już dawno brzmi: „Chleba naszego w obfitości daj nam i jutro!“ Wszakże pracy saméj za kapitał nie uważam, jak to czyni amerykanin Carey a za nim Liebknecht i Bebel, bo ta nauka popędziłaby nas pełnemi żaglami i naprężoną parą do kommunizmu. Również nie wierzę, aby powiększona produkcja przysporzyła kapitału, bo jeśli to co produkuję skonsumuję, to mój kapitał, t. j. mój majątek nic a nic się nie powiększył. Produkcja i praca są tylko środkami, służącemi do ułatwienia oszczędności, do jéj umożebnienia. Tém wyznaniem mojéj ekonomistycznéj wiary ryzykuję wprawdzie, że powiedzą o mnie, iż stoję w obozie staréj, może przestarzałéj szkoły, z trzydziestych lub czterdziestych lat; lecz nie wszystko to, co w nauce ekonomji społecznéj jest nowém, jest także i dobrém, czego najlepszym dowodem nauka Lassallsów, Liebknechtów, Bebelów i innych socjalnych demokratów a lepiéj radykalnych kommunistów.

Widocznie z tych samych co i ja zasad wychodzi Dr. Rejewski, który mnożenie się proletarjatu u nas przypisuje bardzo słusznie ubytkowi majątków polskich, brakowi własnego handlu i przemysłu, nie zaś brakowi intelligencji lub moralności, bo nie ulega kwestji, że tylko naród (jak indywiduum) może być oświeconym i moralnym, jeśli posiada środki do utrzymywania szkół, do opłacania nauczycieli, czyli, jeśli ten naród będzie w dobrobycie, który mu pozwala nieco czasu poświęcać na kształcenie się umysłowe. Biedny, proletarjusz, nie ma środków ni ochoty do kształcenia się, a głodny zawsze w bogatym uważać będzie nieprzyjaciela swego, bo wié — że syty głodnemu nie wierzy.

Tylko przez dobrobyt rodzić się może lepsza przyszłość dla naszego narodu; towarzystwa interesów moralnych, konwikta i t. d. chociaż, — jak Dr. Rejewski powiada, — przypisać im należy wielką wagę, do tego celu jednak nas nie doprowadzą; przez majątek powstaje siła i potęga, rodzi się światło, kwitnie handel i przemysł.

Realną podstawą rozwoju narodowego życia, zdrowego społeczeństwa, jest dokładna organizacja gospodarstwa społecznego na polu finansowém. Za taką dokładną organizację z Dr. Rejewskim jednak tylko uważać możemy taką, która kapitały rodzi, która je w naturalny sposób dla wszystkich mnoży. Banki zwyczajne, kredytowe, czy też spółki pożyczkowe w żaden sposób uważać się nie mogę za społeczne, ogólne organizacje, bo ich pierwotne zadanie, ich cel główny, — powiedzmy to otwarcie, bo pan Rejewski tego nie zrobił, — jest spekulacja członków należących do spółki; takie instytucje mają i mieć muszą swoją korzyść na oku, inaczéjby chybiły swego celu, a to mielibyśmy im doprawdy za złe. Takie instytucje czysto kredytowe mają tylko pośredniczyć, ułatwiać cyrkulację kapitału, same zatém tylko istnieć mogą tam, gdzie jest dostateczny kapitał, oraz przemysł do tego stopnia rozwinięty, że może robić użytek ze znacznych kapitałów. Również i spółki pożyczkowe nie przyczyniają się do wzrostu kapitału, bo się nie przyczyniają do podniesienia kredytowych stosunków. One jak lombardy, które Dr. Au*) doskonale charakteryzuje jako pierwszą drogę do pozbawienia obywatela najpiękniejszéj ozdoby, obywatelskiego wstydu, nie przyczyniają się do ogólnego dobrobytu.

„Produktywna praca, nawet liczebne mnożenie się społeczeństwa są ograniczone istniejącym kapitałem, bo kapitał jest czynnikiem, czyli narzędziem do wyżywienia i pracy niezbędnie potrzebném.“ Tak powiada p. Rejewski, a zdaje się, że to zdanie każdy bezwarunkowo podpisać może. Ktoby się spierał, temu pokażemy z panem Rejewskim, że dla braku kapitału w naszych rękach nie mamy przemysłu, tak że surowe płody naszéj własnéj produkcji wywozić musimy za granicę, by potém przerobione, obciążone kosztami podwójnego transportu i różnemi procentami, dyskontami, kupować z rąk cudzoziemców.

Z największém zatém wysileniem powinniśmy starać się o mnożenie kapitału, co nas może nieco idealnego polotu pozbawi, ale nam téż więcéj ciężkości dodawać może na szali narodów, to nam, być może, więcéj przyniesie korzyści, niżeli wszystka idealność nam dotąd przyniosła. Dziś narody tylko ważą przez materję, którą jest dobrobyt, bogactwo ogółu.

Pierwszym warunkiem dojścia do kapitału jest praca, którą Carey mylnie samą nazywa kapitałem; przez pracę dojdziemy do zarobku, który jednakowoż jeszcze sam nie tworzy majątku, jeśli to co zarobimy przez konsumcję stracimy. Dopiéro oszczędność doprowadzić może do kapitału.

Ale oszczędność bez planu także jeszcze nie doprowadzi do pomyślnego rezultatu. Jednostkowa oszczędność jest zbyt mała, żeby nawet dla téj jednostki wiele mogła znaczyć, a zwyczajne kasy oszczędności także nie dają gwarancji, że się cel oszczędności osiągnie, i dla tego téż dotąd na społeczeństwo mało wpływu wywarły.

Dopiéro oszczędność systematyczna, zbiorowa, połączona z (moralnym) przymusem, za jaki uważa p. Rejewski obawę utracenia korzyści z włożonego już do banku grosza, może mieć znaczenie. Każdy łatwo pojmuje, „że jeżeli wiele jednostek w jednę zbiorową całość się wiąże, jeżeli pojedyncze talary jednostek się spajają w potężny kapitał, a gwarantując tém samém osiągnienie celu każdéj oszczędzającéj jednostki, stają się jeszcze przed osiągnięciem celu oszczędzającéj jednostki podstawą kredytu w gospodarstwie społeczném i podstawą pracy, przemysłu i handlu w narodzie.“

Majętni i biedni mają jednakowe obowiązki i potrzeby zniewalające ich do oszczędności: myśl o przyszłości własnéj i rodziny, myśl o rozwoju całego narodu.

Wielka kasa oszczędności, czyli bank zabezpieczeń na życie, jako machina skutecznie działająca

*) Die Creditgenossenschaften in ihrer Bedeutung für Stadt u. Land. Heidelberg 1869.

przy produkcji kapitałów, daje każdemu rękojmię, że jego oszczędność nie będzie daremną. Jednostki składające do takiego banku swe oszczędności, zapewniają sobie nawzajem osiągnienie celu.

„Żadna inna kasa oszczędności, — powiada Dr. Rejewski, — żaden inny bank zabezpieczeń ani od ognia, ani od gradu, w ogóle od szkód elementarnych nie mają takiéj jak bank zabezpieczeń na życie ogólnéj doniosłości co do podźwignienia dobrobytu familijnego, podniesienia stosunków kredytowych, mnożenia przemysłu i handlu, jedném słowem, co do przywrócenia zdrowia całemu społeczeństwu naszemu.“

Powiem gołosłownie ważną jedną myśl ukrytą w całéj broszurze p. Rejewskiego, ktora może i najdobitniéj pokaże charakterystyczną cechę jego banku zabezpieczeń na życie. Każdy grosz złożony do niego, każdy grosz, który wpłynął do niego, należy do zabezpieczonych, kiedy inne, stare kasy oszczędności zbierają dla siebie z przewyszek dochodu kapitały, oddając zabezpieczonym jakąś okruszynę procentów. Dotychczasowe zaś towarzystwa zabezpieczeń od ognia i gradobicia były i są wyłącznie towarzystwem z finansową dążnością wzbogacania tych, którzy je zawiązali, prócz opartych na wzajemności; gdyż z tych towarzystw, po najdłuższém w nich zabezpieczeniu, nikt grosza nie dostaje, jeżeli nie miał nieszczęścia być poszkodowanym. Dom nie spalił się, lecz się obalił przez starość, nikt poszkodowanemu nie nagrodzi straty. Grad nie wybił zabezpieczonemu zboża — to korzyść akcjonarjuszów, którzy towarzystwo zawiązali.

Pan Rejewski pokazuje, że bank zabezpieczeń na życie, jak on go proponuje, daje możność i gwarancję także do założenia innych towarzystw, mianowicie do założenia towarzystw zabezpieczających od szkód elementarnych, w których ten, którego klęska nie dotknęła, nie stracił w końcu swych pieniędzy; do założenia banku nadającego hipotekom majątków przeciążonych długami pewność pupillarną, a zatem możność ratowania majątku i t. p.

Jeszcze muszę na jednę ważną myśl Dr. Rejewskiego zwrócić uwagę czytelnika.

Zwykle niezamożnego, rzemieślnika mianowicie, wstrzymuje od oszczędności to, że już do prowadzenia gospodarstwa, rzemiosła i t. d. nie ma potrzebnych funduszów, skądże więc mieć jeszcze na zaoszczędzenie! Ta wymówka jest uzasadniona względem zwyczajnéj kasy oszczędności, która nie operuje dla zabezpieczonych, ale dla założycieli. W banku podług projektu Dr. Rejewskiego założonym i ten oszczędzać może, któremu chwilowo brak pieniędzy.

Pan Rejewski objaśnił to przykładem, który tu przytoczę:

„Przypuśćmy, że ktoś widzi potrzebę oszczędzenia aż do śmierci kapitału w wysokości 1,000 tal. Dwoma talarami miesięcznie cel ten da się osiągnąć, a to nie trudno, bo na to dziennie dwa trojaczki tylko potrzeba odkładać. Zdarzyć się jednakże przytém może, że w przeciągu roku się pożyczka okaże potrzebną np. w wysokości tal. 100. Za odpowiednią gwarancją, o którą zabezpieczony łatwiéj niżeli niezabezpieczony wystarać się może, owe 100 tal. z banku zabezpieczeń na życie po 5% osiągnąć można. Zabezpieczony w przeciągu roku, w którym więc składki 24 tal. wynosiły, umiera. Bank kwitując pozostałych z długu, jeszcze 900 tal. dopłaca, a cel oszczędności nawet za pomocą pożyczonych z banku pieniędzy jest osiągnięty, bo ojciec zostawił po sobie 1,000 tal. potomkom.“ Bez banku zabezpieczeń byłaby oszczędność w przykładzie przytoczonym niemożliwą.“

Mam przekonanie, że taki bank, który obejmować może wszystkie warstwy ludności naszéj, aż do biednego parobka i służącéj w dworze lub u gospodarza, aż do biednego czeladnika pracującego u majstra za kilka złotych tygodniowo, skutecznie zapobiedz może rosnącéj biedzie, mnożącemu się w zastraszający sposób proletarjatowi.

Przez pomyłkę opuszczono gdzie mowa o czasopismach które wspomniały o Spółce drenarskiéj „Orędownika“, który także o téj Spółce wzmiankował.

(Dokończenie nastąpi.)

Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji

przez

Hr. na Lodowéj Turni.

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,
Mięszając tu i owdzie podróżnych zwyczajem
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.
A przecież....

Pan Tadeusz, księga III.

Było to w Krakowie. Lecz nie w tym Krakowie nad Wisłą, rozłożonym u stóp mogił Krakusa, Wandy, Kościuszki, — nie! Było to w Krakowie w Kościeliskiéj dolinie — w Tatrach.

— W Tatrach? — zawołasz zdziwiony — czyli tam jest jaki Kraków drugi?

Podobnie i ja się kiedyś zdziwiłem, gdy wróciwszy po raz pierwszy z Kościeliskiéj doliny do Zakopanego, opowiadałem memu gazdzie*) całodzienną wędrówkę.

— A widzieliście też tam Kraków? — zapytał, gdym skończył.

— Jaki Kraków?

— No, Kraków w Kościeliskach, na lewo przed Pisaną.

— Jakto, czyliż tam jest jaki Kraków?

— O! — rzekł śmiejąc się gazda — to musicie Panie jeszcze raz iść do Kościeliska, kiedyście tam nie widzieli Krakowa.

Nie poszedłem już w tym roku, bo mi czas nie pozwalał, — ale za drugim w Tatrach pobytem, przekonałem się naocznie, że i w Tatrach (jak to zresztą każdemu zwiedzającemu te wspaniałe góry wiadomo) jest także Kraków. Lecz nie jest on tu ani miastem, ani nawet wioską góralską. Kraków tatrzański jest to poprostu w jedném uboczu Kościeliskiéj doliny wązki i kręty a wysoki korytarz wśród skał pionowych, szeroki zaledwie stóp kilka; z obu jego stron prostopadłe, skaliste ściany na kilka set stóp wysokie sterczą zuchwale. Masz więc ulicę gotową: jest tu i bruk, może lepszy jak w niejedném miasteczku, a nawet w rzeczywistym Krakowie na niektórych ulicach, bo i tu stąpasz po kamieniach nieznających co sznur brukarza; są i tu kamienice po bokach, wysokie, starożytne, omszale; gdzie niegdzie występuje ze ściany odłam skały umajony krzewami — to balkon strojny kwiatami; tu dołem jakiś otwór nakształt groty — to brama zajezdna; tam rysy szerokie od góry do dołu — to granice pojedynczych kamienic. Ulica się następnie rozszerza znacznie

*) Gazda znaczy u górali to samo co u nas gospodarz.

— to rynek: ztąd coraz wyżéj do odosobnionych olbrzymich skał pionowych — to droga do zamku, na Wawel. I otóż masz Kraków w Kościeliskiéj dolinie. Kto to miejsce tak nazwał — niewiadomo, a zresztą mniejsza o to. To pewna, że ono należy do najpiękniejszych epizodów kościeliskiego poematu jak mówi Łapczyński*).

Było to więc w Krakowie roku 1868, gdy w towarzystwie dwóch znajomych, dajmy na to Tadeusza i Alfreda chodziliśmy sobie po ulicach tego skalistego grodu rozpatrując się w jego szczegółach i słuchając przytem objaśnień przewodnika Sieczki, który nam ukazywał podobieństwa zachodzące między tym alpejskim, a prawdziwym Krakowem. Natężaliśmy wyobraźnię, by zrozumieć Sieczkę, czemu ta ulica jest Grodzka, czemu to rynek, a to Wawel. A choć prawdą a Bogiem trudno tu było dopatrzeć się tak bardzo uderzającego podobieństwa, wszakżeż rozkoszowaliśmy się w tym improwizowanym Krakowie. Bo też ta ulica Grodzka zawsze przystrojona świątecznie na tryumfalne przyjęcie każdego podróżnika. Ściany przybrane tu i owdzie w zielone mchu kobierce; ze szczelin i gzémsów, gdzie tylko nieco mułu utrzymać się może, zwieszają się we wdzięcznym nieładzie strojne wieńce roślin ubarwione kwiatami. W górze ciężkie gałęzie świerków sięgają z jednéj strony na drugą, łączą się z sobą tworząc naturalne girlandy, a raczéj jeden zielony baldachin, który skąpo tylko nieba widzieć pozwala. Głuchy szum Dunajca dolatuje z daleka; echo naszych kroków i słów rozlega się głośno, a z góry po nad nami słychać dźwięczne tony dzwonków. Gdzież te owce się pasą? — Jużci chyba na dachach tych wrzekomych kamienic. Wyszliśmy na rynek — tu trochę obszerniéj: więc łatwiéj było spojrzeć ku wierzchom skał. Na brzegach tychże widać owce pojedynczo się pasące aromatycznem zielem. Ujrzawszy nas przypatrywały się nam z góry ciekawie, stojąc śmiało nad przepaścią. Obok nich na krawędzi urwistéj skały w cieniu gęstego świerku siedział młody juhas, świątecznie ubrany, bo to była niedziela, z rozwartą książeczką do nabożeństwa. Pasterz i owce dzwoniące ślicznie, uzupełniały ten cudny obraz alpejski Stawaliśmy co chwilę, by uraczyć oczy i serce temi skarbami czarownéj górskiéj przyrody.

— A cóż? — rzekłem przystawając — czy nie piękne są nasze Tatry?

— Przepyszne! niezrównane! — zawołał z uniesieniem Tadeusz — co za szkoda, że tak mało Polaków tu przyjeżdża! Nieprawda Alfredzie?.. Ale ty jakoś, zdaje się, nie dzielisz naszego zapału? Miałżeby ci się nie podobać ten czarodziejski świat górski?

— To wszystko nic! — bąknął lakonicznie Alfred, z góry na wszystko poglądając, co mu się zresztą nie bardzo udawało, bo tutaj człowiek bardzo, bardzo maleńki śród téj olbrzymiéj natury.

— Jak to nic? — zawołałem zaperzony. — Jeżeli ci się jeszcze Kościeliska dolina nie podoba, to i cóż na świecie?

— To wszystko nic — powtórzył zimno — w porównaniu z Saską Szwajcarją. Tam to skały!

— Co mi tam Saska Szwajcarja ze swojemi skałami! — odparł Tadeusz z oburzeniem — w kąt schować się musi: Tatry sto razy wyższe!

— Wysokość jeszcze nie stanowi piękności, — rzekł ironicznie malkontent — a zresztą czy byłeś w Saksonji?

— Nie byłem — odrzekł kwaśno Tadeusz — bo to ani nie warto mając tu na polskiéj ziemi takie cudne góry.

— Jakżeż więc możesz sądzić, co piękniejsze! Ja byłem i tam i tu widzę co jest, to wiem gdzie ładniéj i powtarzam: to wszystko nic w porównaniu z Saską Szwajcarją Tam to skały osobliwe, ale tu... i wzdrygnął ramionami.

— Wiesz co — rzekł z przekąsem Tadeusz — przypominasz mi teraz i słowem i postawą, zgadnij kogo?

— Ciekawym mocno!

— Oto Telimenę z pana Tadeusza gdy sławiąc Włochy deklamuje patetycznie:

..... O szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
Wy klasyczne Tyburu spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
To Hrabio kraj malarzów! U nas, żal się Boże!...

— Tego bynajmniéj nie twierdzę, że u nas, żal się Boże!... ale przecież pozwolisz, że są na świecie daleko piękniejsze rzeczy jak u nas.

— Ale przynajmniéj nie twoja Saska Szwajcarja!

— Tak mówisz, boś jéj nie widział.

— Niech i tak będzie — rzekł rozgorączkowany Tadeusz — wolę więc nigdy nie jechać do Saksonji, bym pozostał na całe życie z tém ułudném mniemaniem, że nic piękniejszego nad Tatry i Kościeliską dolinę.

Smutno mi się bardzo zrobiło, na to upośledzanie gór naszych, ale jakże się tu z nim spierać, kiedy człek Saksonji nie widział.

W milczeniu wyszliśmy z Krakowa na ową wielką salę okrągłą Kościelisk, która jak owe rotundy po zagranicznych galerjach najcelniejszemi jest ozdobiona dziełami przyrody. W około wznoszą się z poza ciemnych świerków niebotyczne różowe skały, o ścianach prostopadłych, najrozmaitszych kształtów. Jedna mianowicie zwraca naszą uwagę, wygląda bowiem jakby zamek jaki lub pałac książęcy: całe rzędy okien przypominają łudząco dzieła ludzkiego budownictwa. Przed nami rościeła się pochylona ku zachodowi polana, jeszcze nie skoszona, więc ubarwiona wszystkiemi kolorami kwiatów. Za nią pienił się wijąc w zakrętach Dunajec: hucząc z gniewu, że mu głazy zawadzają w korycie bryzgał ciągle z wściekłości białą pianą, pędząc z straszliwą szybkością, by się wydostać jak najrychléj z Tatr i odpocząć na równiach. Spuściliśmy się nieco w dół ku Dunajcowi i brzegiem jego idąc zbliżyliśmy się ku południowéj ścianie téj sali. Przed nami stoi otworem wspaniała brama utworzona z olbrzymich skał wapiennych; w niéj tyle tylko miejsca, że się zmieści droga i Dunajec. Za bramą tuż zaraz przy skale Pisanéj owo źródło sławne, upragniony cel każdego turysty. U podnóża prostopadłéj i gładkiéj jak ściana skały Pisanéj jest grota z otworem w kształcie półkola. Z niéj to wybucha szerokim strumieniem gwałtowny potok wody łączący się zaraz po kilku zaledwie krokach z Dunajcem. Siedliśmy przy téj wododajnéj pieczarze, któréj wnętrze Goszczyński napróżno kusił się z latarnią po kilkakroć zbadać: podziemne wichry zawsze mu światło gasiły.

Patrząc na tajemniczy otwór mimowoli pogrążyłem się w dumaniu wystawiając sobie jakieś zaklęte wewnątrz pałace, w których króluje wszechwładnie duch wód tatrzańskich, do którego niepodobna śmiertelnikowi przystąpić bezkarnie.

— Co za tajemnicza jaskinia i woda! — odezwał się po chwili milczenia Tadeusz — cobym nie dał za to, żebym mógł dotrzeć aż do źródła samego: pewniebym się ujrzał w obszernéj sali podziemnéj, w miejsce posadzki szklista czerń wody, ściany kryształowe, sklepienie soplami dążące ku wodnemu zwierciadłu. Jakiżby to był czarodziejski widok przy krwawym blasku pochodni! A kto wié, możebym ujrzał gdzie w cieniu w głębi na brylantowym tronie złowrogą postać jakiego półboga, władcę tych wód i lasów i turni tatarzańskich!

*) Lato pod Pieninami i w Tatrach przez K. Łapczyńskiego. Tyg. ill. ser. I, tom VI.

— Więc ściągaj bóty i idź — rzekł śmiejąc się Alfred — na wszelki przypadek pożyczę ci rewolweru.

— Pewniebyś mnie nie potrzebował zachęcać, ale czyliż mogę się spodziewać, że będę szczęśliwszym od Goszczyńskiego! Zresztą nie mamy latarni.

— To przynajmniéj choć z brzegu — rzekłem — zajrzyjmy do otworu.

Za pomocą świerkowéj belki, którąśmy położyli tuż przy jaskini na poprzek strumienia, mogliśmy pojedynczo w dość niewygodnéj postawie zaglądać do wnętrza. Gruba jednakże ciemność nic nam prawie widzieć nie pozwalała; tyle tylko było można poznać, że grota się skręca i zniża.

— No i jakże wielbicielu Saskiéj Szwajcarji — odezwałem się do Alfreda, który właśnie zaglądał do ciemnéj pieczary — czy widziałeś w Saksonji takie źródła niezwykłe i tajemnicze, albo taki Dunajec burzliwy?

— No, to prawda, że takich źródeł ani wód tam nie ma, ależ za to co za skały!...

— Co mi tam skały choćby najdziwaczniejszych form; przecież one same piękności gór nie stanowią! Co mi to za góry bez szumiących potoków, stawów, wodospadów, śniegów, kóz alpejskich!...

— Nie przeczę — rzekł stanowczo — ale to pewna, że gdybyś widział Saską Szwajcarję, pewniebyś sąd o niéj zmienił i przyznał, że wszystko to w porównaniu z nią — jest niczém.

Ubodło mnie już do żywego to upośledzanie Kościeliskiéj doliny i Tatr w ogóle. A nie chcąc się spierać o to czego niewidziałem zapragnąłem wtedy po raz pierwszy gorąco ujrzeć Saską Szwajcarję w tém przekonaniu mocném, że na porównaniu z nią Tatry u mnie wcale nie stracą, lecz owszem zyskają. (D. c. n.)

POKŁOSIE.

Przegląd Lwowski zamieścił w XVI poszycie rozprawę p. n. „Dr. Libelt i mieszkania nawodne.“ Pismo to prowokując nas do prowadzenia polemiki, walczy bronią, którą my się brzydzimy; z tego téż powodu wstrzymujemy się od ocenienia powyższéj rozprawy, która w niczém nie wyświeca przedmiotu spornego.

„Gazeta literacka“ rozpoczęła druk powieści Wolodego Skiby p. n. „Partja Szachów.“

W osobnéj odbitce nakładem „Kraju“ wyszła Adama Bełcikowskiego komedja historyczna p. n. „Dwaj Radziwiłłowie.“

Klemens Hankiewicz wydał dziełko p. n. „Życie, pisma i system filozoficzny Bronisława Trentowskiego.“

Nakładem bibljoteki kórnickiéj wyszły podobno „Mowy M. T. Cycerona, przełożone przez E. Rykaczewskiego.“

Dr. Robiński ogłosił rozprawę lekarską p. n. „Die Kittsubstanz auf Reaktion des Argentum nitricum.“

W Poznaniu wyszło pisemko humorystyczno-satyryczno-belletrystyczno - dramatyczno - muzyczno - skandaliczno - zabawne p. n. Satyr. Sąd o niém zostawiamy publiczności.

Felix Wrotnowski, autor polski, umarł na wygnaniu w Paryżu dnia 2 lipca.

* * *

Szanownych czytelników naszych prosimy o podanie nam bliższych szczegółów, dotyczących się pułkownika z roku 1831 Antonini, którego zapiski o pierwszych dniach powstania listopadowego w Warszawie przytacza Ryszard Otto Spazier w przedmowie do swojéj „Geschichte des Aufstandes des polnischen Volkes in den Jahren 1830 und 1831.“ — Rodzina Antonini pochodzi może od Jana Antonina, lekarza królów polskich Zygmunta I i II, którego Ciampi mieni Włochem a inni rodem z Kaszowa. — Ludwik Lubliner w swojém dziełku p. n. „Les Confiscations des Biens des Polonais sous le règne de l'empereur Nicolas I“ wykazuje na str. 113 Jakóba Antonini, który w skutek konfiskaty postradał swoje mienie r 1834. Miałżeby ten Jakób być powyżéj wzmiankowanym pułkownikiem? — W piśmiennictwie włoskiém i łacińsko-włoskiém odznaczyli się Annibal, Bernard, Filip, Józef i Marjusz Antonini; oprócz tego żyje w Medjolanie rzeźbiarz Józef Antonini, — a Karol, sztycharz włoski z XVIII wieku i wydawca zbioru p. n. „Manuale di varii ornamenti tratti dalle fabbriche e frammenti antichi“ z r. 1780 sqq, sztychował z rysunków Fr. Szmuglewicza pomiędzy innemi portrety Klemensa XIV papieża i Pawła Ksawerego hr. Brzostowskiego. — Czy z nazwiskiem Antonini miałaby mieć jakikolwiek związek nazwa wsi kościelnéj Antoniny, położonéj w ziemi zasławskiéj nad Ikopotem, na północ-zachód i w pobliżu Kulczyna?

Skrzynka do listów.

Dr. Rob. w Berlinie: Za łaskawą pamięć i gorące słowa zachęty przesyłamy serdeczne Bóg zapłać!

Bratu Szlązakowi na Górnym Szląsku dziękujemy za nadesłane nam życzenia.

P. M... D... w Lidzbarku: Wystarawszy się o poszukiwane dziełko p. n. Tadeusz Kościuszko i Napoleon Bonaparte, przesłaliśmy je Szanownemu Panu pod opaską. Cena tegoż dziełka wynosi 20 sbr.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.